Babcia Lena skacze z Giewontu

Zakopane, Dolne Krupówki, lata dwudzieste XX wieku.

Romuald „Aldek” Roman

Zazwyczaj, gdy poznajemy ludzi w wieku dojrzałym, nie przychodzi nam do głowy, że ci poważni, nobliwi panowie i panie byli w młodości jeszcze bardziej zwariowani niż my, gdy byliśmy w ich wieku. A tak często bywało, a już szczególnie, gdy mamy do czynienia z pokoleniem Woodstocku, czyli niegdysiejszymi hipisami, teraz będącymi sześćdziesięciolatkami na stanowiskach lub, jeszcze częściej, emerytami, którzy robią wszystko, by nikt ani przez chwilę nie pomyślał, że czterdzieści lat temu palili trawę. A przecież oni tacy byli. Słuchali Jimmy’ego Hendrixa i nie bali się AIDS, bo wtedy go jeszcze nie było. Nie bali się klechów, bo Kościół siedział pod miotłą komuny, więc kochali się na prawo i lewo, i z wyjątkiem podwyższonego przyrostu

naturalnego kochanie to nie miało żadnych niepożądanych konsekwencji.

Tak sprawa wygląda z moim pokoleniem. Ale czy na początku XX wieku, trzy pokolenia przede mną, gdy panie nosiły gorsety, a panowie odkryli narty i jeździli z jednym kijkiem, łatwiej im było powstrzymywać się od wybryków? Ależ nie! Oni żyli z fantazją co najmniej równą naszej. A wśród tych panów z wąsikami i pań w kapeluszach z piórami trafiały się takie osoby, że gdy po stu latach pra-pra-prawnuki czytają o ich wyczynach, łapią się za głowę. Posłuchajcie, proszę, o mojej pięknej babci Lenie Roman-Dzieduszyckiej.

Mój dziadek, wielki lwowski aktor Władysław Roman, zmarł w 1904 roku, zostawiając młodziutką żonę i dwoje małych dzieci: Mieczka i Janeczkę. Mieczko to mój ojciec, „bohater dziejowy" (przezwisko nadane mu złośliwie przez teściową), a Janeczka to późniejsza sławna aktorka Janina Romanówna, czyli moja ukochana ciocia Janeczka. Zapłakana wdowa, Lena Roman, to moja babcia, którą spotkacie też w innych opowiadaniach.

Jest rok 1908. Lena Roman dosłownie staje na głowie, by osiągnąć trzy życiowe cele: znaleźć drugiego męża, najlepiej z tytułem, jakiegoś księcia lub przynajmniej hrabiego, zdobyć pieniądze oraz sławę. Oczywiście najlepiej byłoby osiągnąć wszystkie trzy cele równocześnie, więc Lena dwoi się i troi, i

walczy na wszystkich trzech frontach. Najpierw pozbywa się kłopotów z dziećmi, oddając je na wychowanie matce męża, a potem, o ile tylko było to możliwe, wysyłając je do prywatnych szkół.

Gdy to jej się udało, Lena, już wolna jak panienka, próbuje wykorzystać nazwisko i pamięć o mężu i… zostać aktorką. Przyjmują ją na próbę do teatru Fredry (dziś Słowackiego) w Krakowie i dają do grania ogony, role w rodzaju „Panie hrabio, czy można zapodać zupę?”. To jest dla Leny afront, bo skoro jej mąż grał Jaśka w Krakowskiej premierze *Wesela*, to ona żadnych zup nosiła nie będzie. Dla niej Ofelie i Julie, a nie jakieś tam kuchenne kocmołuchy. Tymczasem, żeby grać Ofelię, trzeba być Wysocką, Solską, Przybyłko-Potocką albo przynajmniej kochanką dyrektora. A Lena nic. Inne panie albo miały większy talent, albo były pierwsze w kolejce przed drzwiami dyrektorskiej sypialni. Tak więc z pójścia w ślady nieboszczyka męża nic nie wyszło.

Niezrażona Lena walczy więc, by wyrobić sobie nazwisko w literaturze. Próbuje publikować w lwowskiej prasie smutne wiersze miłosne pełne dźwięcznych częstochowskich rymów. Wszyscy wtedy tak pisali, jedni trochę lepiej, jak Asnyk, inni trochę gorzej, jak Konopnicka, styl Leny nie różnił się więc specjalnie od stylu reszty grafomanów i jej wiersze były od czasu do czasu publikowane i zatykały puste miejsca w galicyjskich

gazetach.

To jednak nie było to, o co Lenie chodziło. Zawiódł ją teatr, bo w czasie dwóch lat, gdy próbowała grać, tańczyć i śpiewać, nie tylko nie została gwiazdą, lecz jeszcze zdążyła pokłócić się z wieloma ważnymi osobami. Pisanie też odłożyła na bok, obiecując sobie, że jeszcze stworzy kilka powieści i wtedy dopiero da się poznać światu. Tu dodam, że powróciła do tego zamierzenia w latach dwudziestych i jej kilkusetstronicowa powieść *Tajemnica Pałacu Dożów*, pełna duchów i zbrodni, przetrwała do dziś w mojej szufladzie wśród rodzinnych papierów.

Pozostała ostatnia, najważniejsza i najtrudniejsza część planu – znalezienie męża. Początkowo miała nadzieję, że mąż trafi się sam, zwabiony jej urodą i… aurą nieszczęścia. Przekonała się jednak szybko, że o inne niż „biedna zapłakana wdowa" nieszczęście tu chodzi, bowiem zapłakanych wdów z dziećmi, na dodatek bez pieniędzy, potencjalni mężowie unikają jak ognia. O nie! Na wdowę żaden, nawet najgłupszy baron, nie da się złapać. Nieszczęśliwe piękności, jeśli chcą być ratowane przez rycerzy, muszą stworzyć taką sytuację, że cały świat wie o ich urodzie, a rycerz gotów jest narazić się na niebezpieczeństwo, by zdobyć kochaną. W tym celu musi uratować drżącą dziewicę z paszczy lwa, a jeszcze lepiej smoka, walczyć z czarownicą, a nawet, jeśli trzeba, zamienić się w żabę.

Babcia Lena wymyśliła, że wielu potencjalnych absztyfikantów przyjeżdża do Zakopanego i udaje, że wybiera się w góry. Większość jednak w góry nie idzie, bo ląduje w kawiarni. Siedzą tam, palą, piją koniaczki i… plotkują o górach. Z Krakowa do Zakopanego kilometrów sto. Dojechać łatwo, bo kursuje pociąg. Lena zaprosiła na wakacje, jako przyzwoitkę, swoją siostrę Wandę, po czym wynajęła na dwa letnie miesiące willę w pobliżu sanatorium doktora Chramca.

Polowanie się zaczęło.

Ponętna Lena spacerowała z parasolką po Krupówkach (tak, wtedy Krupówki również nazywały się Krupówki), piła w kawiarniach kawusię i gorącą czekoladę, słuchała koncertów, poznawała pensjonariuszy i letników, lecz żaden poważny kandydat na męża się nie trafiał. Ot, jakiś tam skrzypek, jakiś urzędnik gubernialny, kupiec z Warszawy. Ale przecież nie o to chodzi! Lena szukała grubej ryby, a nie płotek. Od czego jednak miała twórczy rozum? Choć starannie ukryty pod wielkim kapeluszem i piękną fryzurą, działał sprawnie i zdolny był wygenerować pomysły godne Machiavellego. Lena postanowiła zrobić z siebie ofiarę: zginąć tragicznie w górach. Właśnie teraz, gdy jest piękna, utalentowana, pełna życia… Ale zginąć tak, by wstrząsnęło to Zakopanem: skoczyć z Giewontu! Teraz oddam głos prasie krakowskiej z początków sierpnia 1908 roku:

Z kraju

Tragiczna śmierć artystki w Zakopanem

Z Zakopanego otrzymujemy dzisiaj wstrząsającą wiadomość, która i w Krakowie niewątpliwie wywrze przygnębiające wrażenie, ze względu na osoby tragedyi, dobrze znane w artystycznych kołach naszego miasta.

Oto przed paroma dniami runęła w przepaść z Giewontu, zabijając się na miejscu, artystka teatru miejskiego we Lwowie, wdowa po znakomitym artyście ś.p. Władysławie Romanie. — Towarzyszący jej na tej nieszczęsnej wycieczce znany muzyk i kompozytor Robert Poselt, chcąc ratować p. Romanową, sam także spadł w przepaść i odniósł liczne, ciężkie obrażenia na całem ciele.

Szczegóły katastrofy przedstawiają się w następujący sposób: Między kuracyuszami i letnikami, bawiącymi obecnie w Zakopanem, przebywała także p. Lena Romanowa z siostrą swą Wandą. Obydwie siostry wybrały się przed paru dniami w towarzystwie p. Romana Poselta na wycieczkę na szczyt Giewontu. Skutkiem nieostrożności p. Romanowej, która, jakby z rozmysłem wybierała najniebezpieczniejsze urwiska na skale,

usunęła się jej w jednem miejscu ziemia z pod stóp, a młoda kobieta w jednej chwili zniknęła w przepaści, znajdując straszną śmierć, szarpana i rozbijana o ostre złomy skał. Towarzysz nieszczęsnej, p. Poselt, chcąc ją ratować, także runął w przepaść i cudem tylko ocalał od śmierci, doznał jednak tak ciężkich obrażeń na całem ciele, iż nieprzytomnego przewieziono go do Zakopanego, gdzie u łoża jego zgromadzili się natychmiast lekarze. — P. Poselt oprócz wielu innych ran doznał z ł a m a n i a s z c z ę k i.

Siostra ś. p. Romanowej, Wanda, ocalała, gdyż w chwili runięcia w przepaść obojga znajdowała się o kilka kroków dalej.

Poselt zamierzał dać w Zakopanem w tych dniach koncert, zdaje się jednak, że o ile znakomitemu skrzypkowi nie grozi zupełne kalectwo, dłuższy czas nie będzie mógł oddawać się swej sztuce.

O ś.p. Romanowej opowiadają, że stosunki teatralne, oraz zwątpienie w swój talent, popchnęły ją do rozpaczliwego kroku, bo od dłuższego już czasu planowała tą straszną wycieczkę – napomykając o swej bliskiej śmierci i.t.p.

Miarodajne czynniki Zakopanego starały się okropny ten wypadek utrzymać w tajemnicy, by nie szerzyć popłochu wśród gości zakopiańskich, tajemnica jednak długo utrzymać się nie dała i obecnie cały ogół kuracyuszów i letników do głębi przejęty

katastrofą, ma ją niemal za jedyny temat rozmów i opowiadań.

Lena dopięła swego! Wiadomość o jej śmierci została powtórzona przez prasę lwowską, a nawet wiedeńską! Po czym, parę dni później, sensacja:

Śmierć na Giewoncie?

Przyczynek do dziejów mistyfikacyi

——

(Od naszego korespondenta).

Zako
pane, 18 sierpnia

Dzienniki krakowskie, które tu nadeszły dziś rano z wiadomościami o „ś m i e r c i n a G i e w o n c i e”, wywołały zupełnie zrozumiale poruszenie. Donosiły bowiem o zabiciu się pani Leny Romanowej, artystki teatru lwowskiego, wdowy po nieodżałowanej pamięci ś. p. Władysławie Romanie i poważnem kalectwie artysty-skrzypka p. Poselta. Oboje mieli spaść podczas wycieczki z Giewontu. Dzienniki przechodziły z rąk do rąk, w kawiarniach i pensyonatach, fakt ten stanowił główny temat rozmów licznych, bawiących tu letników i kuracyuszów. Z

obowiązku poszedłem na miasto, aby zasięgnąć bliższych informacyj.

Wpadam najpierw do wszystkowiedzącego p. Płonki. Przeczytawszy informacje dzienników, zawołał:

– Panie, to wszytko nieprawda! P. Poselt mieszka u mnie, jadł przed chwilą śniadanie i jest zdrowiutki jak ryba.

– A może przecież coś się stało?

– Zupełnie nic. Przecież w moim domu mieści się „klimatyka”, setki gości przewija się przez mój lokal, wiedziałbym więc coś o tym, gdyby zaszedł nieszczęśliwy wypadek. Wiem tylko tyle, że p. Poselt spadł przed dwoma tygodniami z roweru i potłukł się trochę, ale jest już obecnie zupełnie zdrów . Niech pan przejdzie zresztą do p. Poselta, mieszka u mnie na pierwszym piętrze pod nrem 4.

[Zatarty fragment].

Przez Marszałkowską udałem się na Chramcówki. W pobliżu zakładu dra Chramca, vis -a-vis willi „Czarny Staw”, stoi mała, niepozorna willa „Kosówka”. Tę willę dzierżawi pani Lena Romanowa.

Wchodzę i zastaję tam jednego z młodych literatów krakowskich, który natychmiast przypada do mnie i zapytuje, kto mógł tak poważne dzienniki jak „Słowo Polskie” i „N. Reformę” ubrać w fałszywą informację. W odpowiedzi wzruszam ramionami, gdy wchodzi młoda, smukła, bardzo przystojna kobieta, której, jako pani Michalinie Romanowej, przedstawia mnie mój interlokutor.

Pani Romanowa jest w najwyższym stopniu znękana zaszłą mistyfikacją, o której na pół godziny przed moim przybyciem się dowiedziała.

– Kto to mógł zrobić? Kto pozwolił sobie na tak złośliwy żart? Jestem ośmieszoną. Nie będę mogła się teraz nigdzie pokazać.

Uspokajam jak mogę, p. Romanowa nie może jednak przyjść do siebie. Ciągle powtarza: „Kto to mógł zrobić?”. Na moją uwagę, że ktoś, komu zależało na puszczeniu w świat tej nieprawdy, musiał w liście podpisać kogoś wybitnego, inaczejby redakcya nie uwierzyła informacyi – stoi bezradna, nie wie, co o tym myśleć.

W tej chwili wchodzi panna Wanda, siostra p. Romanowej, która podczas rzekomego wypadku na Giewoncie jedyna ocaleć miała, i przynosi dzienniki, po które siostra ją posłała. Pani Romanowa jest jednak tak zdenerwowaną, że nawet odczytać artykułu nie mogła.

***

Należałoby zdemaskować autora tego złośliwego i głupiego żartu.

Z.R.

Nikogo jednak nie zdemaskowano, a Lena, mimo genialnego pomysłu, by zwrócić na siebie uwagę, wróciła z pobytu pod Tatrami bez męża.

Wspomniałem już jednak, że babcia nigdy się nie poddawała. Kiedy zrozumiała, że ani jako aktorka, ani taterniczka furory nie zrobi, kupiła sobie kino, jedno z pierwszych we Lwowie, a potem drugie, i miała tyle koron w kieszeni, że nie wyjeżdżała do Zakopanego i Krynicy, tylko na Riwierę, do Dalmacji, do Wenecji. I tam wreszcie spotkała podstarzałego hrabiego i została hrabiną. Na to nigdy nie jest za późno, trzeba tylko się starać, jak moja babcia Lena.

Kolejny fragment książki „Zakopiański Dom Wariatów" we wtorek, 11 października 2016 r.

Zakopiański dom wariatów

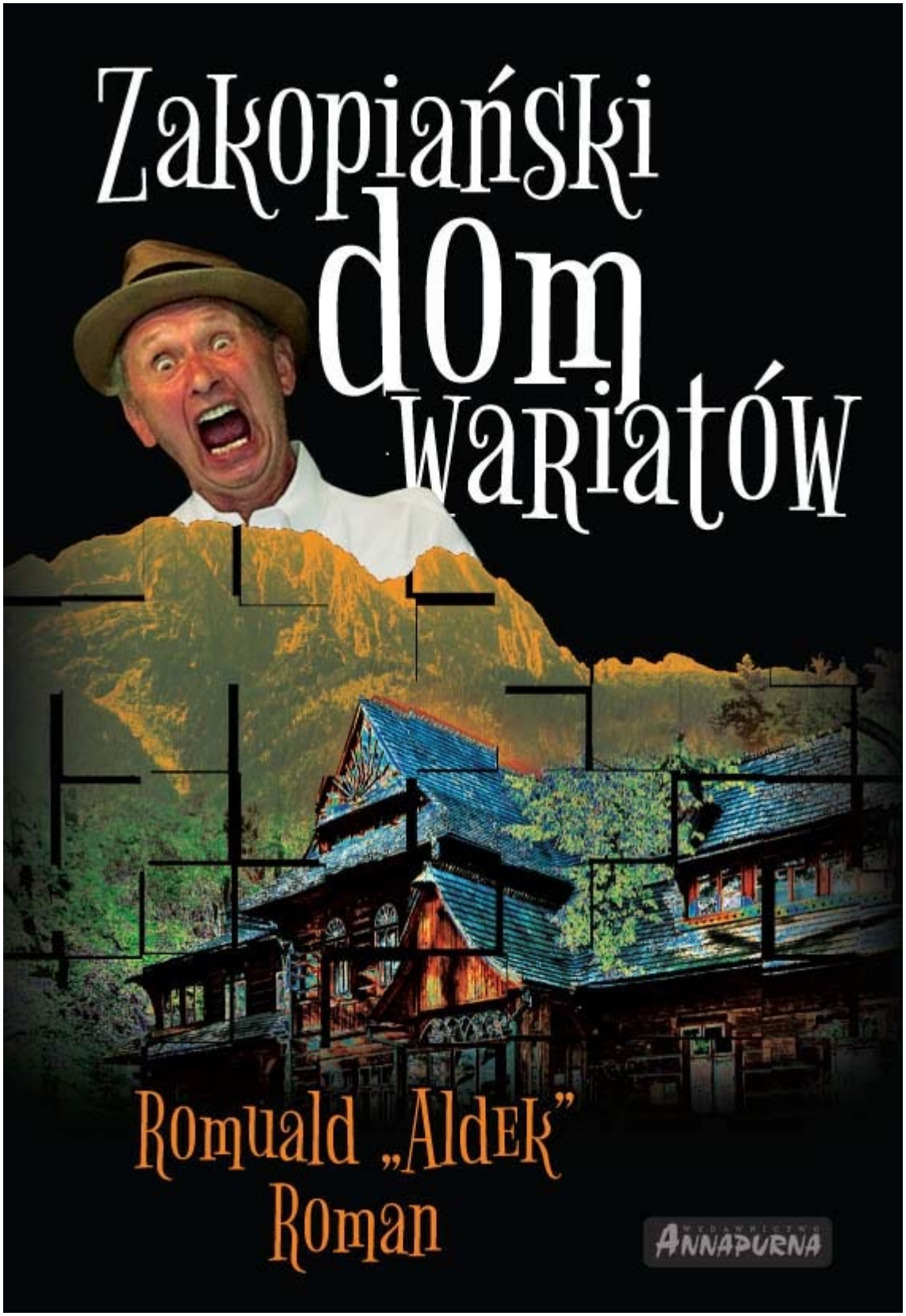
Zakopiański
dom
wariatów
Romuald „Aldek”
Roman
Wydawnictwo
Annapurna

Romuald „Aldek" Roman od 1984 roku razem z rodziną żyje w USA. Obecnie wraz z żoną Jolą mieszka w historycznej miejscowości Chestnut Hill pod Filadelfią, gdzie wielu bogatych fabrykantów budowało swoje wielkie gotyckie domy i rezydencje w stylu tudoriańskim. Silverstone Bed & Breakfast należący do Joli i Aldka mieści się w pięknej wiktoriańsko-gotyckiej posiadłości zbudowanej w 1877 roku dla rodziny Jenks, właścicieli kilku fabryk w Filadelfii. Dom zaprojektował znany architekt Theophilius Chandler, który założył szkołę architektury na Uniwersytecie Pensylwania.

Rezydencja, do budowy której wykorzystano tutejszy kamień z doliny potoku Wissahickon, o mieniącym się w słońcu srebrzystym odcieniu, usytuowana na wzgórzu, otoczona lasem i strumieniami, wygląda imponująco. Pobliska Zielona Dolina (Valley Green) jest jednym z największych parków naturalnych w Stanach Zjednoczonych.

W domu Romanów czuć Polskę i teatralną historię rodzinną. W jadalni wisi portret słynnej przedwojennej aktorki i śpiewaczki, po wojnie aktorki Teatru Polskiego w Warszawie, Janiny Romanówny, starszej siostry ojca Aldka Romana. – *Przypomina mi się jej warszawskie mieszkanie, nasze coroczne wizyty i morały cioci Janki* – opowiada Jola Roman. – *Bardzo ją lubiłam, była symbolem odchodzącego świata, manier i kultury. W życiu mówiła tak, jakby była na scenie. Jej mąż Mieczysław*

Mierzejewski, dyrygent i wielbiciel aforyzmów, które cytował przy każdej okazji, zawsze był ubrany w garnitur i białą koszulę z krawatem. Ciocia Janka zmarła w wieku 87 lat, ale w mojej pamięci pozostanie piękną, zawsze umalowaną starszą panią, w biżuterii.

W takich podfiladelfijskich warunkach powstała najnowsza książka Romualda „Aldka" Romana, błyskotliwie napisana i pełna humoru historia Zakopanego lat 50-tych i 60-tych. Zdobyła ona nagrodę czytelników w konkursie na „Najlepszą książkę na zimę 2015" w kategorii „Perły z lamusa". Ten sam portal uznał „Zakopiański dom wariatów" za jedną z Najlepszych Książek Roku 2015.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Jola i Aldek Romanowie

Romuald „Aldek” Roman

Zakopiański dom wariatów

Książka ta jest dużej mierze fikcją, prawdziwe wydarzenia zostały poprzeinaczane z powodu zaników pamięci i fantazji pisarskiej autora. Obok znanych nazwisk osób tworzących Zakopane lat siedemdziesiątych przewija się w niej wiele wymyślonych postaci. Jeśli osoba, nazwisko czy sytuacja opisana przeze mnie przypomina komuś kogoś, kto w tamtych czasach mieszkał w Zakopanem, nie biorę za to odpowiedzialności.

Proszę nie powoływać się na tę książkę w poważnych artykułach, opracowaniach historycznych, a już szczególnie w pracach doktorskich, bo na pewno się nie obronią.

Zamiast wstępu

Penn patrzy na Giewont

Na wieży filadelfijskiego ratusza, sto sześćdziesiąt metrów nad dachami Filadelfii, stoi jedenastometrowy posąg z brązu przedstawiający założyciela Pensylwanii Wiliama Penna. Twórca posągów pstrzących monstrualne centrum biurokracji miasta wymyślił sobie, że mesjasz kwakrów będzie patrzył ze swojej wieży w kierunku Penn’s Landing. Tymczasem, gdy w 1901 roku stawiano ten czternastotonowy pomnik, zamiast twarzą na południe, ustawiono go twarzą na północny wschód. I Wiliam Penn spogląda z Filadelfii tam, gdzie za morzem, za górami są Zakopane i Giewont.

Ja też co jakiś czas tam popatruję i choć niby zrosłem się Ameryką, to co chwila coś sobie przypominam, coś, co we mnie siedzi, coś, co przeżyłem pod Giewontem. I tak żyję, i tak piszę.

Romuald „Aldek" Roman, Zakopiański Dom Wariatów, wyd. Annapurna, Warszawa 2015 r.

Fragmenty książki ukażą się na stronie w kolejne dwa wtorki.

Romuald „Aldek" Roman urodził się w 1949 roku w Nowym Sączu. Jest wnukiem znanego lwowskiego aktora teatralnego Władysława Romana i bratankiem słynnej polskiej aktorki teatralnej i filmowej Janiny Romanówny. W 1971 roku ukończył Wydział Leśny Uniwersytetu Rolniczego im. Hugona Kołłątaja w Krakowie, a po wyjeździe do USA Temple University w Filadelfii. Ma wiele talentów i zainteresowań. Taternik, leśnik, nauczyciel, narciarz, menedżer w Environmental Protection Agency, gdzie był ekspertem stosowanej toksykologii przemysłowej, konsultant ONZ w Polsce i w Rumunii. Współpracował przy projekcie oczyszczenia Wyspy Neville Island, która była wcześniej śmietniskiem przemysłowych zakładów Pittsburgha. Pisze

krótkie szkice literackie, opowiadania i eseje – pełne dowcipu i dystansu wspomnienia z Polski, w tym z okresu zakopiańskiego oraz osobiste wrażenia z pobytu w Stanach Zjednoczonych. *(Na podst. Wikipedii).*

Ostatni Latyn: Zygmunt Kubiak (1929-2004)

Zygmunt Kubiak, Warszawa 1998, fot. Elżbieta Lempp.

Florian Śmieja

Pamiętam przedwojenny podręcznik gimnazjalny do nauki łaciny i jego motto „Disce puer latine”. Nie były to jednak czasy króla Stefana Batorego, który obiecywał nagrodzić godnościami tych, którzy łacinę opanują, niemniej przeto język Rzymian był w poszanowaniu, a jego mistrzowie stanowili zdumiewającą gromadkę lojalnych miłośników antyku pragnących nie tylko nauczyć języka Cycerona, ale także kultu wielkiej śródziemnomorskiej cywilizacji.

To dzięki przykładowi mojego profesora łaciny w wojskowym gimnazjum w Szkocji ośmieliłem się przekładać Wergilego polskim heksametrem, by później wręczyć moją wersję IV Bukoliki, mesjanistycznej, wielkiemu piewcy antyku, Janowi Parandowskiemu na stopniach British Museum, kiedy mu pozwolono pojechać na zjazd PEN Clubów do Londynu.

Podziwiałem niektórych księży znakomicie posługujących się łaciną, przyklaskiwałem Watykanowi przemyślnie kreującemu łacińskie słowa na „motocykl", kiedy masowo odwiedzili Ojca św motocykliści.

Po zaledwie roku greki i lekturze o młodym Cyrusie musiałem zadowolić się przekładami greckiej literatury na polski. Tymczasem te tłumaczenia wcale nie były błahe: do dziś poważam piękne teksty, które ukazały się na emigracji w Londynie, a więc „Iliadę" Homera w roku 1961 i „Eneidę" Wergilego w 1971 przełożone przez Ignacego Wieniewskiego. Stoją nadal na moich półkach. Zaglądam też do wydanego przez Veritas w Londynie w 1957 roku przekładu „Odysei" Józefa Wittlina. Ta trzecia wersja pokazuje upór tłumacza, by stworzyć wersję ostateczną. Już wówczas Wittlin ostrzegał:

> "Mimo że wypadło nam żyć w epoce telewizji zabijającej wyobraźnię, czy tylko ograniczającej jej pracę, musimy

> posiłkować się starodawną magią słów, pisanych i drukowanych, gdy chcemy czytelnika wprowadzić w losy Telemacha, a nawet wzruszyć tymi losami. Telemachia czy Telewizja”.

Tymczasem Kościół Katolicki zarzucił używanie łaciny, nawet przemocą rugował ją z lubianej liturgii. W szkołach przestano jej uczyć, tak że dziś przedmiot to arcyrzadki.

Z jej zmierzchem oddaliła się nieco kultura antyczna. Musi ona obecnie prosić o wsparcie języki nowożytne. I tak mitologia, literatura czy historia starożytnych Greków i Rzymian stara się nas oczarować w obcej dla siebie szacie. Na szczęście zdarzają się takie cuda dzięki pietyzmowi tłumaczy i pośredników. W Polsce ich czołowym reprezentantem był Zygmunt Kubiak.

Jego nazwisko zadźwięczało w moim uchu po raz pierwszy bardzo dawno temu bo w 1957 roku. Wtedy to pismo nasze „Merkuriusz Polski” wydawane przez młodych w Londynie ogłosiło konkurs dla dobrze zapowiadających się młodych krytyków, a światłe jury pod przewodnictwem Jerzego Zawieyskiego wybrało laureatami Mariana Pankowskiego z emigracji, a z kraju Jana Błońskiego, Andrzeja Kijowskiego oraz Zygmunta Kubiaka. Tego ostatniego miałem poznać dopiero kilka lat temu we Wrocławiu, kiedy odbierał nagrodę „Odry”. Z

miejsca mi wyrecytował mój wiersz poświęcony Markowi Aureliuszu wprawiając mnie w niemałe zdumienie.

Wybitny tłumacz Wergilego, liryki łacińskiej, „Wyznań” św. Augustyna oraz nowogreckiego poety Kawafisa, zaskoczył sceptyków ogromnym powodzeniem swoich książek „Mitologia Greków i Rzymian”, „Literatura Greków i Rzymian” oraz „Dzieje Geków i Rzymian” i z czasem obsypany został nagrodami i wyróżnieniami.

W 1995 roku przywiozłem sobie z Polski jego „Brewiarz Europejczyka”, zbiór esejów napisanych dla pokrzepienia bratnich duchów. Napisał on wtedy:

> “Muszę uznać, że żyję w okresie, kiedy nie mogę dać jakichkolwiek rad, mogę tylko, w całej szczerości, mówić o tym, co osobiście wybrałem; może ktoś pójdzie w moje ślady. Przyzwyczaiłem się do tego, by żyć w duchowej samotności, otoczonej sferą mało zrozumiałą. Stopniowo uczę się traktować degenerującą się cywilizację jako coś zewnętrznego wobec mojego życia duchowego”.

Niemniej przeto sugerował zwrot ku starożytności.

> “Bogactwo kultury rzymskiej odsłania przede mną podstawy życia społecznego i organizacji państwowej, obiektywne stosunki między ludźmi, a jednocześnie ostrzega mnie i broni przed wszelkimi iluzjami totalitarnymi”. Nic dziwnego, że za taką postawę w jednej z gazet nazwano go „Latynem nad Wisłą”.

Kubiak należał do grupy tych pisarzy, którzy pamiętają przeszłość. Ciężko doświadczony w czasach PRL-u zganił apologetów tej formacji utrzymując, że proces stwarzania fikcyjnej przeszłości nadal rozwija się i narasta. Drukowany w czasie przedgomułkowskiej luki w cenzurze esej „Natura i obłęd” pojawił się w książce w towarzystwie działu „Z przeszłości” i „W piwnicy niewoli tchnienie wolności w kulturze”. Autor nakreślił w nim delikatny obraz powściągliwego i ostrożnego Jerzego Turowicza. Kubiak dodaje:

> „A pod tą łagodnością była stal dawnych rycerzy i hetmanów. Zupełna niezłomność. I absolutna prawość, szlachetność. Nie spotkałem nikogo, kto byłby tak twardy, jak ten łagodny człowiek, który nigdy nie podnosił głosu”.

Konkluduje wskazując na odepchnięcie przez Turowicza zarówno

obskurnej lewicy jak też obskurnej prawicy.

> „Strefa Jerzego została i już w Polsce zostanie. Cierpi się nadal, ale można przynajmniej w głębi swojej duszy spokojnie zignorować dwoisty terror dwóch odłamów kretynów: tych od rdzennych Polaków i tych od laickiej postępowości. Można spokojnie zmierzać – choćby to była jeszcze długa i bardzo trudna droga ku Polsce obywatelskiej”.

W “Zapiskach z wędrówki” wspominając dzieciństwo nie zapomina o gorzkim smaku, jak powiada, brzemienia dojrzałości, tej ważnej zmiany w dziedzinie odpowiedzialności. Sugeruje nam, byśmy się od razu nastawili na taki świat niedoskonały, z zadrą, by

> “…w takim świecie chłodno, z dużą dozą obojętności wobec spraw drugorzędnych, prestiżowych, psychologicznych, która komuś może wydać się nawet oschła, pilnować interesów istot, dla których możemy coś uczynić”. Taką postawę nazywa szkołą mądrości rodem znad Morza Śródziemnego. Radzi też kultywować cnotę obojętności, wewnętrznego spokoju. Zaleca, że “Dusza sucha jest ze wszystkich najmądrzejsza i najlepsza”, czyli taka dusza

> “która ani nie oddaje się snom i złudzeniom, ani nie płacze nad rzeką czasu”.

Najwięcej miejsca poświęca ukochanej Grecji i podziwianemu Rzymowi. A w tym, co mówi o antyku dwie postacie stale się przewijają: Homer i Horacy. Przypomina, że żyli pod tym samym niebem w świecie poddanym straszliwym wyrokom przeznaczenia i śmierci. Obaj w pięknie literatury i sztuki szukali nieśmiertelności. Posłuchajmy Kubiaka:

> “Horacy był heroicznym artystą. Żaden inny poeta nie ukazuje nam tak wyraźnie patosu walki o poetyckie słowo. Bo gdy czytamy „Iliadę”, ogarnia nas od razu wielki dech epopei, heksametry szumią i łopoczą, jak skrzydła. U Homera cierpliwa praca poety-rzemieślnika jest niemal zupełnie pokryta przez rozmach potężnego natchnienia. Oczywiście, w swoich ogromnych gestach jest Homer idealnym wzorem heroizmu sztuki antycznej. Nosił on w sobie głęboką świadomość tego, co w naszej epoce Conrad nazwał wymierzaniem sprawiedliwości widzialnemu światu. Jakaż mogła być sprawiedliwość dla świata, który ginął z niepojętego wyroku? Walczyć o jego ocalenie, oto hasło poetyckiej służby.To zadanie przekraczające siły człowieka, było jedyną nadzieją dla homerowego świata, nadzieją wypowiedzianą ustami Heleny: „Ciężką nam dolę dał Zeus,

> abyśmy dla potomnych żyli w pieśni”.

Mimo wszystkiego, co dzieliło obu poetów, Horacy stał w tej walce obok Homera. Umiał go komentować tak wspaniale, jak chyba nikt ze starożytnych, oczywiście – nie wtedy, gdy wyciągał z historii trojańskiej stoickie morały, ale wtedy, gdy z genialną intuicją dotykał Homeryckiej sztuki. Niezapomniana jest ta strofa, w której Horacy mówi o bohaterach greckich z czasów przed Agamemnonem:

> „oto oni wszyscy zaginęli w mroku nocy, bo nie mieli swojego poety. Czy rozumiemy, co znaczy owa sława, którą bohaterowie uważali za najwyższe dobro, co znaczy owo imię żyjące w pieśni? Jest to krąg światła, który zmaga się z mrokiem unicestwienia, z nocą ogarniającą świat. Homer chciał wydrzeć Mojrze choćby część jej łupu. Chciał ocalić blask oczu Achillesa i królewski majestat Troi”.

U Bliklego na Nowym Świecie rozprawiałem z Autorem o wspólnie cenionej przestrzeni rozciągającej się od Morza Bałtyckiego po Morze Jońskie wyobrażając sobie, że siedzę nad sekretnie obudowanym polskim źródłem Aretuzy.

W roku 2003 odwiedziłem go w jego skromnym mieszkaniu w

bloku na Pradze. Nie przeczuwalem, że miało to już być nasze ostatnie widzenie.

Nie miał się już doczekać wejścia ojczyzny do Unii Europejskiej, na Nowym Świecie nie będzie dalszych spotkań. Nie otrzymam też widokówek z Aten czy Rzymu od naszego Ostatniego Latyna.

„Poezja to zakon, a nie łąka motyli”

HOLY
BIBLE
JANUSZ A. IWIATOWICZ
The Interior Life

Rozmowa z ks. Januszem Arturem Ihnatowiczem

Edward Zyman: Przypomnijmy na wstępie kilka faktów. Opuścił Ksiądz Polskę w wieku lat siedemnastu, by w 1946 roku wraz z matką i siostrą połączyć się z przebywającym w Wielkiej Brytanii ojcem, oficerem polskich sił zbrojnych na Zachodzie. W Szkocji, w polskiej szkole, zdał Ksiądz maturę, po czym uzyskał dyplom angielski na Uniwersytecie Londyńskim, by w 1948 wyjechać do Irlandii, gdzie w latach 1948-1951 studiował filozofię i psychologię na uniwersytecie w Dublinie. W rok po obronie dyplomu (1952) zamieszkał Ksiądz w Toronto w Kanadzie, skąd w 1958 nastąpił powrót do Polski. Kolejnym etapem były studia w Seminarium Duchownym w Kielcach, gdzie cztery lata później Ksiądz otrzymał święcenia kapłańskie. Następne lata przyniosły kontynuację studiów teologicznych w Warszawie, Ottawie i Rzymie, zwieńczonych uzyskaniem w 1984 roku doktoratu w rzymskim Angelicum. W latach 1969-1997 wykładał Ksiądz teologię na uniwersytecie katolickim St. Thomas w Houston w Teksasie, gdzie mieszka do dzisiaj. Czy w tym skrótowym z konieczności biogramie wszystko się zgadza, a może Ksiądz chciałby wprowadzić doń pewne korekty i uzupełnienia?

Janusz Artur Ihnatowicz: Wszystko się zgadza.

E.Z.: Czy zachował Ksiądz w swojej pamięci okoliczności powojennego wyjazdu do Anglii? W tamtym okresie z oczywistych względów nie było to przedsięwzięcie łatwe.

J.A.I.: Tak, to przecież było dramatyczne przeżycie. Nie tylko sam fakt opuszczenia Ojczyzny. Już teraz nie bardzo mogę sobie odtworzyć moje nastawienie do tego faktu. Wcześniej nieco w paczce kolegów i koleżanek z tajnych kompletów wojennych snuliśmy rozważania o oporze przeciw komunie. Ale już zaczęli znikać koledzy poszukiwani przez UB, o których dowiadywaliśmy się, że są w Anglii. Wszystko to czyniło takie wyjazdy czymś mniej „nie-do wyobrażenia". Zresztą wątpię, czy rzeczywiście miałem jakieś zdecydowane sprzeciwy wobec podjętej przez Matkę decyzji. Natomiast sama podróż przez „zieloną granicę" barką na Odrze i kanale do Berlina była jak z powieści przygodowej. Po paru tygodniach w Berlinie pojechaliśmy pociągiem do stacji bliskiej granicy strefy brytyjskiej. To był najbardziej pełen obaw odcinek, bo w czasie przejazdu przez strefę sowiecką zdradzenie się jako Polacy wobec współpasażerów przepełnionego pociągu groziło tym, że nas wydadzą władzom sowieckim. Nasz opiekun, Volksdeutsche z Polski, ogłosił, że jesteśmy Niemcami z Estonii – to miało tłumaczyć braki naszej niemczyzny. Później nocna wielokilometrowa wędrówka do granicy strefy brytyjskiej – ciągła obawa, że natkniemy się na patrol sowiecki. A potem to już była „normalka". Polskie władze wojskowe zaopiekowały się nami,

wydały nam karty dipisów i umieściły w słynnym Maczkowie, gdzie doczekaliśmy wiz do Anglii. Cóż, to historia na różne sposoby podobna do wędrówki setek, jeśli nie tysięcy rodzin wojskowych. Czasem żałuję, że nie zmobilizowałem się, by to opisać. Może teraz, jako poeta i profesor na emeryturze, coś na ten temat zrobię.

E.Z.: W latach 50. i 60. był Ksiądz związany z londyńską grupą Kontynenty, zjawiska w historii polskiej literatury wyjątkowego. Czy zgodziłby się Ksiądz z tezą, że ówczesne kontakty z kręgiem młodych polskich poetów, którzy debiutowali na obczyźnie, miały istotny wpływ na Jego późniejszą działalność literacką, a może, powiedzmy to wprost, zadecydowały wręcz o tym, że ksiądz został pisarzem? Po latach w jednym z wywiadów Ksiądz wprawdzie oświadczył: „Nigdy nie tęskniłem za środowiskiem", nie potrafię się jednak wyzbyć wątpliwości, czy podobnie Ksiądz czuł w tamtym, szczególnym w Jego życiu, okresie. Przecież wówczas, dla młodego emigranta o literackich ambicjach przebywanie wśród ludzi zbliżonych wiekiem, zainteresowaniami i doświadczeniami życiowymi, którzy byli uczestnikami istotnych dyskusji i odbiorcami jego pierwszych prób pisarskich, musiało być z wielu względów znaczące.

J.A.I.: Kontynenty? Na pewno wpłynęły na to, że stałem się poetą publikowanym. Ale wiersze pisałem już wcześniej. Powiedziałbym nawet, że w pewnym sensie nie należałem do tej

grupy, bo gdy oni formowali się (w sensie wspólnej działalności wydawniczej) najpierw byłem daleko od Londynu w Irlandii, a potem jeszcze dalej – w Kanadzie. Właściwie tym, który sprowokował moje pierwsze już na poły dorosłe zafascynowanie poezją polską był polonista Czesław Bobolewski w szkole polskiej w Garelochhead w Szkocji. Potem, podczas studiów w Dublinie, było paru kolegów, z którymi czytaliśmy sobie wzajemnie wiersze. Nawet mieliśmy wieczór autorski w „salonach" konsulatu polskiego – wtedy jeszcze Irlandia uznawała polski rząd na uchodźstwie. O ile mi wiadomo – spośród nich tylko ja zostałem zawodowym pisarzem.

E.Z.: Wymienił Ksiądz nazwisko Czesława Bobolewskiego.

J.A.I.: Tak**,** wspomniałem jego nazwisko, ale w tym momencie uświadomiłem sobie, że pierwszą osobą, która coś we mnie odkryła i zaszczepiła miłość do literatury była pani Różycka, profesorka języka polskiego na tajnych kompletach w I Liceum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie. Dzisiaj nie pamiętam już jej imienia, wiem natomiast z całą pewnością, że prowadzone przez nią lekcje języka polskiego i przede wszystkim rozmowy z nią były dla mnie wielce inspirujące. Czułbym się niezręcznie, gdybym w naszej rozmowie tym wspomnieniem nie spłacił zaciągniętego wobec niej długu. Natomiast jeśli chodzi o Czesława Bobolewskiego, był to znany i ceniony przed wojną polonista w Grodnie, a od roku 1937 w Harbinie w Mandżurii

(gdzie zastąpił Zbigniewa Folejewskiego). Wojna zmusiła go do ewakuacji z Harbinu, później był nauczycielem w różnych szkołach polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Obok mnie do jego uczniów należał m. in. Florian Śmieja. Bobolewski uczył nas, jak powiedział Zbyszek Siemaszko, ekonomii słowa i „jędrnej mowy". Wojciech Jerzy Podgórski w swojej książce *Emigracja walczących* pisze, że ma egzemplarz *Ryb na piasku* z jego uwagami na marginesie.

Wracam jednak do moich początków literackich. Z późniejszej londyńskiej grupy miałem osobisty kontakt tylko z Bolesławem Taborskim, gdy jeszcze żadnego wcielenia „Merkuriusza" nie było. To on zrobił ze mnie kontynentowca, bo zaczął mnie tam publikować. W ich działalności, nawet we wcześniejszym okresie (przed październikiem 56) właściwie nie brałem udziału, poza listami do Taborskiego, z których wyjątki on później tam drukował. To powiedziawszy, muszę przyznać, że moje rozumienie naszej sytuacji, jako poetów piszących po polsku, zgadzało się zasadniczo z tym, jak to inni członkowie Kontynentów odczuwali.

E.Z.: Krytycy, badacze literatury wielokrotnie zwracali uwagę na wyjątkowość tej sytuacji, stwierdzali to także sami członkowie grupy (Czerniawski, Czaykowski, Busza, warto przypomnieć tu także słynne sformułowanie Księdza opublikowane w 1955 roku na łamach „Merkuriusza Polskiego": „My widzimy kulturę polską

przez oczy kultury zachodnioeuropejskiej, w przeciwieństwie do starszego pokolenia, które widziało kulturę zachodnią przez oczy kultury polskiej. My Słowackiego czytamy na tle topoli Sekwany, na tle ścian Stratfordu”). Język angielski nie „kusił” w sensie poetyckim?

J.A.I.: I to jest chyba najciekawsza sprawa. Wydaje mi się jednak, że często się przesadza, co do realności naszego możliwego wyboru twórczości angielskiej. Poza może Andrzejem Buszą, nasz kontakt z kulturą angielską dokonał się w wieku, gdy już byliśmy dość uformowani językowo i kulturowo. Nasza wyobraźnia była wyobraźnią Polaków. Choć to prawda, jak pisałem do Taborskiego, że my spoglądamy na Wisłę od Tamizy, że mamy tendencję do spoglądania na poezję polską przez soczewkę poezji anglojęzycznej, ze to jednak Wisła a nie Tamiza jest rzeką naszej wyobraźni, a poezja angielska jest odświeżeniem naszej polskiej literackiej mowy. Szereg z nas wyprodukowało angielskie wiersze, lecz te – z wyjątkiem najmłodszego z nas Buszy, który po latach zarzucił język polski – zawsze chyba były czymś ubocznym. Osobna sprawa to problem tłumaczenia siebie i innych na angielski.

E.Z.: Domyślam się, że siebie tłumaczył Ksiądz raczej niechętnie, skoro w *Poezjach zebranych* znalazł się wydany w 1975 roku w Londynie anglojęzyczny tom *Displeasure*.

J.A.I.: Początkowo zakładałem, że tom będzie zawierał tylko wiersze polskie. Redakcja jednak postanowiła, że poezje zebrane to znaczy wszystkie wiersze publikowane. O tłumaczeniu tych wierszy nie było mowy, ile to by czasu zajęło. Istniało szereg przekładów Beaty Tarnowskiej. Kilka ukazało się we „Frazie", inne w częściowych cytatach w jej książce *Między światami*. I tu powstał pewien paradoks, bo szereg wierszy w pierwszej części *Displeasure* to wersje angielskie wierszy, które się wcześnie ukazały w polskich tomikach. Także tłumaczyłem wiersze, które ukazały się w wydanej w Kanadzie antologii *Seven Polish-Canadian Poets (1984*). Ale ma Pan rację, że mój stosunek do moich własnych i innych tłumaczeń moich wierszy (i to w obie strony) jest dość ambiwalentny; najczęściej produkt otrzymany sprawia poczucie niedosytu, zwłaszcza od strony dźwięku i rytmu, a więc czegoś, co dla mnie jest istotne w poezji.

Wracając do Pana poprzedniego pytania o potrzebę polskiego poetyckiego środowiska, zwłaszcza rówieśników. Nie miałem tutaj wyboru, bo takiego środowiska nigdy nie mogłem mieć. W Kanadzie utrzymywałem sporadyczne i przyjacielskie kontakty z Danutą Bieńkowską, lecz poezja nie była ich podstawowym, głównym wątkiem. Kontaktowałem się też z Iwaniukiem, Jadwigą i Adamem Tomaszewskimi, także Zofią Bohdanowiczową, ale to było już inne pokolenie. Być więc może, że to życie tak moją psychikę literacką uformowało, że straciłem poczucie potrzeby tego, czego nie mogłem mieć. W czasie mojej młodości mój

romans z poezją odbywał się całkowicie *via* książki. I tak pozostało: moje pisarstwo nie potrzebowało i nie potrzebuje podniety poetyckiego „środowiska”.

E.Z.: Pierwsze wiersze zamieścił Ksiądz na łamach londyńskiego „Życia Akademickiego” w 1954 roku. Później były publikacje na łamach „Merkuriusza Polskiego” i „Kontynentów”, druk w zredagowanej przez Adama Czerniawskiego antologii *Ryby na piasku* (1965), opracowanej przez ks. Bonifacego Miązka antologii współczesnej poezji kapłańskiej *Słowa na pustyni* (1970), ale pierwszy samodzielny tom księdza *Pejzaż z postaciami* ukazał się nakładem Oficyny Poetów i Malarzy dopiero w roku 1972, a więc w 43 roku życia. Co było przyczyną tak późnego debiutu książkowego? Uwarunkowania emigracyjne? Wybory i preferencje osobiste? Szczególny rodzaj pisarskiej perfekcji?

J.A.I.: Późny debiut to nie był mój wybór, ale władz PRL. Po przyjeździe do Polski miałem przyjęty w PIW-ie tomik (z tytułem *Tygrys*). Potem, chyba dlatego, że wstąpiłem do Seminarium, po kilkuletnim zwlekaniu wycofali się z tego. W zmienionym i poszerzonym składzie książkę chciał wydać ZNAK, ale przez szereg lat cenzura wykreślała ją z planu. Podobnie wykreślono mnie z antologii poetów Kontynentów *Opisanie z pamięci* wydanej w 1965 roku w Polsce. Ostatecznie zdecydowałem się opublikować coś w Londynie. I tak się stało, że ostatecznie

pozwolono ZNAK-owi na wydanie *Wierszy wybranych*. Oba tomiki drukowane były w tym samym czasie, ale Oficyna zdążyła *Pejzaż z postaciami* opublikować w roku 1972. Inna sprawa, że zawsze miałem i mam dość *laissez-faire* nastawienie do zabiegania o publikację moich utworów.

E.Z.: Wróćmy na chwilę do naturalnych w sytuacji, Księdza i Jego przyjaciół z Kontynentów, inspiracji literaturą angielską, co zaowocowało bogatą działalnością translatorską.Wyrazem tego są m. in. zamieszczone w *Poezjach zebranych* tłumaczenia wierszy Audena, Hopkinsa, Yeatsa, Pounda, Thomasa czy Cummingsa. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że była to działalność dwustronna, bo przecież Ksiądz, Czerniawski, Czaykowski, Busza, Sito, Taborski i inni tłumaczyli także „w drugą stronę", przyswajając czytelnikowi anglojęzycznemu interesujące zjawiska literatury polskiej. Stwierdziłem, że w przypadku twórców ukształtowanych w dwóch (lub więcej) kulturach to rzecz równie cenna, co zrozumiała. W tym jednak konkretnym przypadku chciałbym zapytać o coś, co dotychczas nie było wyraźnie podkreślane. Ksiądz wrócił do kraju w 1958 roku, rok później do Polski przeniósł się Jerzy Sito, który został redaktorem „Współczesności". Był to czas, gdy w polskiej poezji dokonywały się ważne procesy przewartościowań zapoczątkowane w połowie lat pięćdziesiątych znaczącymi tomami Mirona Białoszewskiego (*Obroty rzeczy*), Zbigniewa Herberta (*Struna światła*, *Hermes, pies i gwiazda*), Tymoteusza

Karpowicza (*Kamienna muzyka*), wydanym w 1956 przez Wydawnictwo Literackie tomem *Wierszy* Andrzeja Bursy. A przecież warto wspomnieć także o poezji Stanisława Grochowiaka, Jerzego Harasymowicza czy Tadeusza Nowaka. W prozie był to m. in. okres głośnego debiutu Marka Hłaski. Toczyły się w tym czasie (przede wszystkim na łamach „Współczesności") burzliwe nierzadko dyskusje literackie. W 1960 roku nakładem wydawnictwa PAX ukazał się tom *Poezje wybrane* T. S. Eliota z esejem Wacława Borowego, przyswajającym polszczyźnie tego ważnego, nie tylko dla debiutujących w owym czasie autorów, poety. Przypuszczam, że były to zjawiska dla Księdza z wielu względów inspirujące.

J.A.I: Inspiracje, czy tylko świadomość tego, co się dzieje? Zacznijmy od sprawy najłatwiejszej – Eliota. Przypuszczam, że ten tom tłumaczeń dotarł do mej świadomości, ale nie bardzo pamiętam. Na Eliota nie musiałem czekać na tłumaczenia, był on w mojej świadomości od dawna. Co do innych, chciałbym odróżnić dwie sprawy. Pierwsza to zaistnienie autorów wymienionych przez Pana (a można by dodać i innych). Naturalnie po powrocie do Polski spotkałem się tymi książkami. Z wymienionych Mirona Białoszewskiego znałem osobiście, często bywałem u niego nie tylko na spektaklach, ale na dziennych pogaduszkach przy herbacie. Nawet dał mi zgodę na wystawienie *Szurów* w teatrze kleryckim w Kielcach. O ile mi wiadomo była to pierwsza prezentacja jego sztuki poza jego

własnym „teatrem osobnym”. Czytałem i czytam wiersze tego poety z przyjemnością, bo podziwiam jego wirtuozerię słowotwórczą i zabawy językowe. Ale nie była to chyba inspiracja w jakimś bardziej istotnym sensie. Podobnie z Harasymowiczem. Trochę moich wierszy „na manierę pseudoludową” styka się z jego twórczością, czytuję go do dziś z przyjemnością, ale nie widzę w nim jakiejś inspiracji. Co do innych wymienionych przez Pana autorów? Szczegóły już mi się zatarły w pamięci. Natomiast, mógłbym zrobić listę innych nazwisk z tego okresu. Trzeba też pamiętać, że wtedy, przeszło pół wieku temu, nie wstawiono ich jeszcze do narodowego panteonu. Byli to młodzi ludzie w gromadzie innych piszących wiersze. Atmosfera skandalu wokół takich autorów jak Hłasko miała więcej do czynienia z polityką owego czasu niż literaturą. Kto, na przykład, czyta dzisiaj *Poemat dla dorosłych* Ważyka? Inna sprawa to owe „procesy przewartościowań” i płynące z tego dyskusje we „Współczesności” (i gdzie indziej). Trzeba pamiętać, że w roku 1958 już się one dopalały. Wydały mi się też nieco zaściankowe, bo wyrastające z problemów małego zakątka komunistycznego raju. Jeśli chodzi o meritum sprawy, to postulaty różnej maści reformatorów sprawiały na mnie wrażenie wyważania drzwi dawno w literaturze świata zachodniego otwartych. Osobiście nie musiałem się wyzwalać z zauroczenia komunizmem, a terror stalinizmu mnie ominął. W przeciwieństwie też do Sity czy Taborskiego nie przyjechałem, by się włączyć w jakąś wersję tworzenia socjalizmu z ludzką twarzą. A moje parę miesięcy po

przyjeździe bycia prawie celebrytą oscylującym między „katolikami” a „reżymowymi literatami”, którzy mnie chcieli od tych „katolików” uwolnić, przekonało mnie, że te gazetowe burze to próżne gadanie bez wielkiego wpływu na to, co rządzący PRL uczynią. Zresztą przyjechałem do Polski by zostać księdzem a nie działaczem literackim. Moje stosunki z literaturą ograniczały się do czytania tego, co mi odpowiadało.

JANUSZ A. IHNATOWICZ

POEZJE ZEBRANE

E.Z.: Wspomniałem o tomie Eliota i kilku zjawiskach charakterystycznych dla polskiego życia literackiego i intelektualnego w latach Październikowego przełomu z tego przede wszystkim względu, że wiązały się one w przypadku Księdza, jak sądzę, z istotną zmianą optyki. To, co z perspektywy Londynu czy Toronto jawić się musiało niezbyt precyzyjnie, po przyjeździe do Polski ukazało z pewnością pełną gamę barw, niuansów i znaczeń.

J.A.I.: Na pewno jakaś zmiana optyki zaistniała. Muszę przyznać, że mój kontakt z poezją polską do roku 1958 ograniczał się prawie do klasyków poznawanych z paru antologii. Nie mogłem, tak jak koledzy w Londynie, korzystać z Biblioteki Polskiej. Literatura powstająca w PRL, poza nielicznymi wyjątkami, była dla mnie w dużym stopniu prawdziwa *terra incognita*. Obawiam się jednak, że nadal pozostałem w pewnym stopniu *outsiderem*, który z przyjemnością czytał nowo odkrytych poetów, lecz którego zanurzenie się w przywołanej przez Pana „gamie barw i niuansów" było czymś mało interesującym. To w inne sprawy zanurzyłem się zdecydowanie.

E.Z.: Skoro obcujemy z poezją kapłana łatwo, niejako automatycznie, narzucają się skojarzenia, że musimy mieć do czynienia z poezją w wąskim rozumieniu tego słowa religijną. Twórczość Księdza temu wyraźnie zaprzecza. Powołanie kapłańskie wchodzi w przypadku Księdza z powołaniem

poetyckim w związki bardziej złożone, rzekłbym: egzystencjalnej natury. W każdym razie wiersze jakie znalazły się w *Poezjach zebranych* nie sposób nazwać laboratorium Jego myśli teologicznej, co byłoby zasadną kategorią opisu poezji na przykład ks. Jana Twardowskiego czy Karola Wojtyły.

J.A.I.: Ma Pan rację. Jak to często powtarzam, moja poezja nie jest „poezją kapłańską” w sensie nadanym temu wyrażeniu przez Stefana Sawickiego: „Rzecz o specyficznych aspektach życia kapłańskiego lub wypowiedź o świecie z wnętrza kapłańskiego doświadczenia”. Nie jest to nawet „poezja teologiczna” – jak Wojtyły. Nie mając umysłowości filozoficznej nie potrafię tworzyć wierszy filozoficznych czy metafizycznych, które są jakby ubranym w symbole i obrazy zamyśleniem nad ważkimi problemami świata i egzystencji. Moje wiersze to raczej próby opisu konkretnych wypadków i zwykłych sytuacji ludzkich oparte o intuicyjne przeczucie ukrytego w tych wydarzeniach jakiegoś „drugiego dna”, dotknięcie którego przez opis w wierszu da czytelnikowi tę radość, która płynie z przeniknięcia poza banalność powierzchownego tylko poznania świata i własnej egzystencji. Jak napisała w innym kontekście Beata Obertyńska, „Szczęście nie ma być wielkie by było doskonałe”. Może płynąć z głębszego i bardziej sympatyzującego zobaczenia „Popołudnia podwórzowego burka”, jak i dramatu wojennego zniszczenia. Mam nadzieje, że moje wiersze w tym sensie są kapłańskie i chrześcijańskie.

E.Z.: Jako czytelnik nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Równocześnie jednak nie sposób nie zauważyć – co podkreśla Alicja Jakubowska-Ożóg, redaktorka *Poezji zebranych* i zarazem autorka do nich wstępu – że wiersze Księdza nierzadko „przywołują autorytet Biblii" i że jest ona w nich obecna nie tylko w postaci cytatu, aluzji czy parafrazy, ale nade wszystko „w sposobie ujmowania ludzkiej egzystencji, wykorzystywana jako dyskretny komentarz do rzeczywistości nie pozbawiony często ironii czy sarkazmu". Na potwierdzenie tak sformułowanej tezy można przytoczyć takie piękne, głębokie wiersze jak „Krajobraz wewnętrzny", „Balaam", „Niewidomy z Betsaidy", „W poszukiwaniu straconego domu", „Elegia na śmierć *Kosówki*" , „Powrót wygnańców" czy „Upadek zachodniego świata" – wymieniłem kilka zaledwie przykładów. W innym miejscu przywołana autorka napisze wprost: „Poezję autora *Niewidomego z Betsaidy* należy widzieć jako swego rodzaju palimpsest, w którym w różny sposób poprzez bezpośrednie nawiązania, stylizacje, inkrustacje motywami, postaciami prześwieca obraz *Księgi*". To bardzo trafna, moim zdaniem, interpretacja.

J.A.I.: Bardzo pochlebna ta opinia pani Jakubowskiej-Ożóg, mam nadzieję zasłużona. Ale tutaj potrzeba ostrożności. Takie nasycenie „językiem biblijnym" może być tylko skutkiem podobnego nasycenia potocznej kultury polskiej. Nie musi być ono dowodem osobistego przyjęcia biblijnej wizji świata.

Przykłady z polskiej, i nie tylko polskiej literatury można by mnożyć. Choć jak się sprawa ma, da się na ogół poznać przez analizę roli, jaką spełnia ten język w poszczególnych utworach.

E.Z.: Obszerny tom *Poezji zebranych* stanowi (niepełny) plon blisko sześćdziesięcioletniej działalności twórczej Księdza. Od pewnego momentu preferuje Ksiądz formę krótką, często epigramatyczną, która przynosi skondensowane rozpoznania, a także pytania dotyczące istoty ludzkiej egzystencji. I znowu tytułem przykładu przytoczyć można kilka wierszy: „O zachodzie słońca", „O ptasie skrzydło", „Statek widmo", „Epigramat o nadziei", „Do drzwi dochodząc". W jednym z nich udziela Ksiądz wręcz dowcipno-przekornej odpowiedzi ma pytanie „Dlaczego piszę krótkie wiersze".

J.A.I.: Najprostsza odpowiedź: bo się starzeję. Przyszło to bez żadnego mojego zamierzenia, naturalnie. Zenon Ożóg pisał kiedyś o cechach charakterystycznych „poezji senilnej". Krótkość może być taką cechą. Starzy ludzie szybko się męczą. Przywołany przez Pana wierszyk daje odpowiedź właśnie w tych kategoriach. Człowiek się łatwiej wyczerpuje. Ale można na to spojrzeć od strony pozytywnej: nie chodzi tu tyle o krótkość, co o zwartość. Moim zdaniem najbardziej przejmujący późny wiersz Mickiewicza to właśnie pięciolinijkowe „Polały się łzy". Gdy się złączą dojrzałość starości (jeśli się do takiej dojdzie!) i opanowanie rzemiosła, człowiek może dojść do sedna sprawy „na

skróty” i znaleźć metaforę, która to wyrazi.

E.Z.: Podrążmy przez chwilę ów problem „dojrzałej starości”, choć w nieco innym aspekcie. Poezja Księdza nigdy nie była przesadnie optymistyczna, sporo w niej wizji ciemnych, apokaliptycznych, a przywołany przed chwilą badacz, charakteryzując tom *Niewidomy z Betsaidy*, stwierdził, że jest on naznaczony „w nieporównanie większym stopniu niż cała dotychczasowa twórczość, piętnem śmierci”, co pozwoliło mu przywołać obecne, jego zdaniem, w wierszach Księdza „poczucie fatalizmu losu człowieka”. Swe wnikliwe i interesujące skądinąd refleksje badacz ów kończy następującą tezą: „Wydaje się, że te wyznania, których tematem jest negatywny stosunek zarówno do życia, jak i do śmierci, stanowią raczej wyraz kryzysu duchowego. Nie ma tu buntu, rozpaczy, ale męskie wyznanie obawy, lęku wobec nieuchronnie uciekającego czasu”. Czy Ksiądz gotów przyznać, że przytoczone sformułowania trafnie oddają Jego życiową i pisarską filozofię?

J.A.I.: Owe psychoanalizy krytyków literackich sprawiają mi satyryczną radość. Nie bardzo jednak rozumiem dlaczego świadomość „nieuchronnie uciekającego czasu” ma być „wyrazem kryzysu duchowego”. W pierwszym rzędzie świadczy raczej o wyleczeniu się z choroby młodości, wiary we własną nieśmiertelność (i to nieśmiertelność, która jakoś zaneguje rzeczywistość śmierci – co, jak ktoś powiedział, jest dobrą

definicją piekła). Moja „filozofia” to rzeczywiście wiedza, że „wszystko mija”, ale nie jest to wiedza pełna strachu czy goryczy, lecz wiedza wyzwalająca z zależności od rzeczy, w których choćbym nie wiem jak chciał, nie znajdę stałego domu.

E.Z.: W „Pieśni samotnego człowieka” znajdujemy korespondujący z tą konstatacją fragment:

> Dom mój wielokroć budowany
>
> rozpłynął się jak zmrok
>
> bo z chceń i snów uwity
>
> ułudy wiecznej namiot

J.A.I.: To jest bardzo wczesny wiersz, powstał w latach pięćdziesiątych. Obawiam się, że nie rozumiałem tego stwierdzenia w kategoriach metafizycznych czy teologicznych, a raczej tylko egzystencjalnych. To takie stwierdzenia młodego człowieka, że wszystkie próby znalezienia kontaktu, domu w tym sensie kończą się niepowodzeniem. To, co miało być domem na życie, okazało się być tylko pokojem hotelowym.

E.Z.: Jako twórca stawiał sobie Ksiądz zawsze wysokie

wymagania. Nie wąpię, że mimo absorbującego powołania kapłańskiego, poezji, owej wielkiej pani, jak ją określił Karol Wojtyła, poświęcał Ksiądz należną uwagę. Utwierdzają mnie w tym odczuciu nie tylko same wiersze, ale także jedna z wcześniejszych, z początków lat sześćdziesiątych, wypowiedzi Księdza. Rozważając funkcję i znaczenie metafory, która pozwala „zejść głębiej, poniżej powierzchni rzeczy, by w jakiś sposób dotknąć ich tajemnicy" stwierdził Ksiądz wówczas, że „poznaje się istotę świata (ut cognitum ut appetitum) przez głębsze poznanie samego siebie". I dlatego, tak brzmiała konkluzja wywodu: „poeta ma obowiązek wobec samego siebie pogłębiania swego życia duchowego. Poezja to zakon, a nie łąka motyli".

J.A.I.: Nie wiem czy sformułowałbym to w ten sam sposób obecnie, ale podstawowa myśl jest wciąż moja. Godzę się z Wojtyłą, że „Poezja to wielka Pani" (choć może nie tak wielka jak on uważał – mniej we mnie dziedzictwa romantyzmu). Dlatego nie można jej traktować „per nogam". Stąd obowiązek pisania dobrze, i nie jest tu błahą sprawą opanowanie rzemiosła. Ale chodzi o coś więcej. Poezja musi płynąć ze szczególnego rodzaju wiedzy. Inaczej wiersze staną się pustym przelewaniem pięknych choćby słów, lub taką czy inną „propagitką". I tu sprawa metafory, która jest dla mnie podstawowym językiem poezji. Metafora, czy bardziej ogólnie stworzenie symbolu, to próba uchwycenia i zakomunikowania owej intuicji „drugiego dna" rzeczy, owego zejścia w głąb, poniżej powierzchni rzeczy, by w

jakiś sposób dotknąć ich tajemnicy. A zdolność do takiego spojrzenia w głąb wymaga dyscypliny intelektualnej i moralnej, czy ogólnie egzystencjalnej, bez niej człowiek ślizga się po powierzchni od podniety do podniety. Tak więc poważne traktowanie siebie jako poety, poważne traktowanie Poezji, wymaga podwójnego trudu opanowania medium i opanowania siebie. I tu podobieństwo do zakonu. Kto nie jest na ten trud zdecydowany, niech się poświęci produkcji cukierków lub sprzedawaniu działek na Marsie.

E.Z.: Wielokrotnie Ksiądz podkreślał, że nie miał ambicji zostania poetą anglojęzycznym. Przebywanie wszakże przez kilkadziesiąt lat na obczyźnie sprawiło, że wiersze Księdza pozostawały, nie tylko ze względów politycznych, poza głównym nurtem także polskiego życia literackiego. Dotyczy to zresztą również poezji innych uczestników naturalnego literackiego eksperymentu, jakim była grupa Kontynentów. Krytycznie wypowiadają się na ten temat m. in. Czaykowski i Czerniawski w wydanym przed kilku laty tomie swych rozmów zatytułowanym *O poezji, nostalgii, krytykach i kryteriach*. Zwracają w nim m. in. uwagę na preferujące „krajowców" mechanizmy polskiego życia literackiego, w tym charakterystyczne hierarchie tzw. środowiska. Czy fakt ten był, jest przedmiotem refleksji Księdza?

J.A.I.: Nie wiem czy refleksji, bo mało temu poświeciłem czasu i uwagi. Ale to jest na pewno tak zwany „fakt życia". W jakimś

sensie jest to normalna ludzka sprawa kumoterstwa, które działa w tworzeniu tak zwanych elit. Był to dawniej (może nadal jest) problem pisarzy mieszkających na tak zwanej prowincji. Czerniawski z Czaykowskim na to utyskiwali, bo ich irytowało to wykluczenie z salonu. Ja to przyjmuję za jeden z „faktów życia" i nie buntuję się przeciw byciu poetą bardzo „niszowym".

E.Z.: Dotychczas w naszej rozmowie nie pojawiły się wątki osobiste, prywatne, a myślę, że czytelnika zainteresować by mogło, co wypełnia Księdzu czas poza posługą kapłańską i pisaniem wierszy? Czy Ksiądz utrzymuje kontakty towarzyskie z twórcami, zwłaszcza polskimi, osiadłymi na tym kontynencie? Co jest Jego pozazawodową i pozaliteracką pasją? Słowem jak „zagospodarowuje" Ksiądz tak twórczo owocującą jesień swego życia?

J.A.I.: Obawiam się, że tego czasu poza „posługą kapłańską i pisaniem wierszy", a przecie także pracą badawczą i pedagogiczną zostawało mi przez życie bardzo mało. I nie tylko o czas tu chodzi, ale – głównie – o inwestycję kapitału intelektualnego i emocjonalnego. Geografia sprawia, że kontakty z twórcami (i w Polsce, i na tym kontynencie) są raczej mizerne i sporadyczne. Obawiam się też, nie mam niczego, co by można nazwać „pozazawodową pasją". Są naturalnie rzeczy, które sprawiają mi przyjemność, czy dają radość, którymi wypełniam wolny czas: muzyka klasyczna, dawniej wycieczki wysokogórskie.

Jak zagospodarowuję ową „jesień”? Na razie idę jeszcze „rzędem” i naukowym, i poetyckim. Są rzeczy do skończenia (jak na przykład wydanie *Poezji zebranych*). Ale powoli zamykam mój warsztat naukowy i poetycki. Może spróbuję tłumaczenia – jest kilku poetów angielskich, których chciałbym udostępnić czytelnikowi polskiemu. Ale chyba najbardziej zadawalającym zajęciem emeryta jest żyć i czytać bez pośpiechu. Tyle jest wokół nas rzeczy i słów, którym warto się przyjrzeć, a które, spostrzeżone, sprawiają radość.

E.Z.: Gdy Ksiądz w 1969 roku wybierał Houston jako miejsce swej długoletniej pracy i równie długiego zamieszkania, stawiając pierwsze kroki na swej „nowej planecie”, mniej więcej w tym samym czasie, konkretnie w dniu 20 lipca tego roku, Neil Armstrong przekazał z pokładu Apolla 11 historyczną wiadomość o wylądowaniu amerykańskiego statku kosmicznego na Srebrnym Globie. Centrum Kierowania Lotami Kosmicznymi znajduje się… w Houston. Nie potrafię nie zapytać, jak to dziejowe w życiu naszego gatunku wydarzenie przyjął ksiądz, profesor teologii i poeta?

J.A.I.: Lądowanie na Srebrnym Globie odbyło się na miesiąc przed moim przyjazdem do Houston. Byłem wtedy w Ottawie, w Kanadzie. Naturalnie, byłem zainteresowany i ucieszony tym osiągnięciem naukowym i technicznym człowieka. Ale jako profesor teologii i ksiądz, a może chrześcijanin, nie byłem i nie

jestem skłonny traktować go w kategoriach metafizycznych, nie więcej niż, na przykład, dotarcie do bieguna. Inaczej mówiąc, nie jestem wcale pewien, czy napisanie *Boskiej komedii*, lub muzyki Mozarta, nie ubogaciło duchowego życia ludzkości więcej w tym, co jest na prawdę zasadnicze.

Mississauga – Houston, sierpień 2012

Jowialny Różewicz

Tadeusz Różewicz, fot. Agencja Gazeta.

Florian Śmieja

Kontakt z Tadeuszem Różewiczem nawiązałem jeszcze w latach sześćdziesiątych w Londynie, kiedy redagowałem miesięcznik “Kontynenty”. W owym czasie mieszkał on w Gliwicach, więc jak tylko pojechałem do Polski, to z rodzinnego Zabrza wybrałem się tramwajem do osamotnionego poety, nietęgo się czującego w mało dla niego atrakcyjnym mieście.

Pamiętam, że mieszkał niedaleko pętli tramwajowej, że przyniosłem mu kilka owoców cytrusowych, o które w Polsce w latach sześćdziesiątych było trudno, a które w okamgnieniu

wylądowały na pospiesznie upieczonym cieście, które żona wniosła wraz z herbatą do salonu.

Wróciłem do domu z tomem jego”Poezji zebranych” i podpisem datowanym Gliwice 28.VIII.1962 r. Późniejszą o rok datę nosi kolejny dar Różewicza, “Nic w płaszczu Prospera”. Potem przestałem redagować pismo, wyjechałem z Anglii. Wymieniliśmy kilka listów.

W jednym z nich poeta skarżył się na modny nagle w Polsce styl barokowy (list z 1965 roku). Filozoficznie dodaje:

> „Będę się z zaciekawieniem przyglądał ćwiczeniom barokowym moich młodszych ‘kolegów po piórze’”.

Zachwycił się też opisem mojego ówczesnego domu i poczuł chęć podróżowania.

> “Może rzeczywiście (kiedyś) skorzystam z zaproszenia i przyjadę z żoną, albo ze starszym synem, albo sam… miałem nawet przed dwoma laty zaproszenie do Anglii na dłuższy pobyt, ale… mi się nie chciało. Nie znam języka, więc i kraj nie wydał mi się ciekawy. Zrezygnowałem zresztą też z zaproszenia (stypendium) do Ameryki i jeszcze gdzieś. Żeby

> coś w naszym świecie napisać (“stworzyć”) trzeba olbrzymiego skupienia – podróże temu nie sprzyjają… a ja nie jestem ani Fiedlerem, ani Lepeckim, ani innym znakomitym podróżnikiem-pisarzem – choćby takim jak Jan Józef Szczepański. A przy tym jeśli się już gdzieś wybiorę to potrzebuję czuć życzliwość i ciepło – tzn. to mi jest potrzebne w obcowaniu z ludźmi”.

Z czasem jednak zmienił zdanie i zaczął podróżować

Osiedliłem się w Kanadzie. Podczas jednej z wizyt w Anglii znalazłem się u Józefa Bujnowskiego, kiedy zjawił się przebywający akurat w Londynie Różewicz. Gospodarz w mig postawił na stole litr wódki. A było nas do poczęstunku trzech.

Bujnowski znał Różewicza od czasów, kiedy wykładał polonistykę w Amsterdamie. Heide, druga żona Bujnowskiego, opowiadała mi jak to obu wiozła samochodem przez najpiękniejsze okolice Holandii. Panowie siedzieli z tyłu i zawzięcie dyskutowali o materialnej i duchowej sytuacji polskiego robotnika. W końcu się zdenerwowała i kazała poetom wyglądać przez okno i podziwiać krajobraz. Zapamiętała też, że wtedy zatrzymali się przy restauracji i poprosili o grochówkę. Nie było. Obstalowali więc zupę jarzynową. W swojej zupie Heide znalazła robaka. Dyskretnie odniosła swój talerz, ale chociaż mężczyźni zajadle

dyskutowali, Różewicz zauważył i tak długo dociekał, aż wydobył z niej, że znalazła robaka. Bardzo go to ubawiło, śmiał się i przypominał. Odniosła wrażenie, że wtedy Różewicz podziwiał swojego zagranicznego rozmówcę i trochę mu zazdrościł.

Tym razem wódka była bez zarzutu, czysta. Ja wychyliłem parę kieliszków, gospodarz nieco więcej, gość zaś raczył się liberalnie i wnet opróżniliśmy całą butelkę. Twarz Różewicza jaśniała, nie schodził z niej szeroki uśmiech. Takiego Różewicza rzadko kto, myślę, oglądał, a może nawet nie posądzał o podobną jowialność.

We Wrocławiu uczestniczyłem w uroczystości nadania poecie doktoratu honoris causa. Wysłuchałem laudacji w przepięknej sali Leopoldina, a potem oracji Różewicza o swoim poetyckim terminowaniu. Zaczął od pamiętnego zdania:

> “Zasnąłem jako młody człowiek. W nocy padał śnieg. Zbudziłem się starym poetą. Między nami leżała zielona łąka, pokryta popiołem. Śniło mi się, że pisałem wiersze”.

Następnie wraz ze znajomą ustawiłem się w długiej kolejce, by dostać podpis autora.

Tak się szczęśliwie złożyło, że bylem również obecny w Opolu, kiedy Różewicz odbierał kolejny doktorat. Przyjechał wtedy do

miasta na kilka dni i kiedy drugiego dnia wieczorem na spotkaniu w audytorium Muzeum Diecezjalnego miałem go publicznie przywitać jako dawny znajomy, ubiegła mnie niespodziewanie ascetyczna postać ks. arcybiskupa (wtedy jeszcze biskupa) Alfonsa Nossola. Podniósłszy się pierwszy z krzesła przemówił z właściwą sobie elokwencją tak serdecznie i pięknie, że nie sposób było żałować, że mi odebrał głos. Kiedy skończył, nawiązując do jego peanu, przepraszałem za nieśmiałość, skoro podejmowałem lutnię po Bekwarku i rozbawiłem audytorium opowiadając anegdoty i przypominając nasze wcześniejsze spotkania.

W Toronto do spotkania nie doszło. Różewicz bawił w Kanadzie z okazji wystawiania tam po angielsku jego sztuki ”Białe małżeństwo”. Zatrzymał się u znajomej i miałem ochotę pójść i najść go niespodziewanie. Dowiedziałem się jednak wcześniej, że nie życzył sobie wizyt, no, ewentualnie 3-4 osoby mógłby przyjąć. Nie próbowałem nawet.

Znany szeroko w świecie, a szczególnie wśród Anglosasów, Różewicz doczekał się ostatnio przekładów na język hiszpański. Także moje przekłady szeregu jego wierszy powędrowały do Madrytu, gdzie obchodzono dni polskiej kultury. Pamiętam, że przed laty namawiano mnie do przekładania Różewicza. Teraz już jest na to za późno, ale pewien jestem, że inni, młodsi, o nim nie zapomną.

Następnie wraz ze znajomą ustawiłem się w długiej kolejce, by dostać podpis autora. Florian Śmieja (z lewej), fot. arch. F. Śmieja

Ewa Stachniak: Caryca byłaby doskonałą celebrytką

Ewa Stachniak

Barbara Lekarczyk-Cisek: W powieści ”Cesarzowa nocy” powraca Pani do swej bohaterki – Katarzyny Wielkiej. W żadnej z wcześniejszych książek nie poświęciła Pani bohaterce tyle uwagi. Co sprawiło, że tak się stało tym razem?

Ewa Stachniak: Od początku chciałam spojrzeć na carycę Wszechrusi z dwóch diametralnie różnych punktów widzenia. Katarzyna Wielka była skomplikowaną postacią. Ta jedna z najpotężniejszych monarchiń wszechczasów, kobieta pełna pasji, nie bojąca się wyzwań, była też emigrantką, żoną, kochanką, matką, której odebrano dzieci, a także kochającą wnuki babką. Jako władczyni była reformatorką, kolekcjonerką dzieł sztuki, genialnym strategiem i politykiem. Miała charyzmę, potrafiła zjednywać sobie przyjaciół i zapewniać polityczne poparcie.

Od początku zdecydowałam, że najpierw opowiem historię jej dojścia do władzy i że spojrzę na nią z zewnątrz oczami zaufanej zauszniczki i szpiega, a potem dopiero oddam Katarzynie głos i pozwolę, by opowiedziała swoją własną historię. Mogłam wprawdzie zmieścić wszystko w jednej książce, jak np. zrobiła to Sarah Waters w „Złodziejce”, ale zdecydowałam się na dwie powieści, wprawdzie przystające do siebie, ale też odrębne, które można czytać niezależnie od siebie.

BLC: O ile w „Katarzynie Wielkiej” występowała bohaterka–narratorka imieniem Barbara, o tyle w ”Cesarzowej nocy” narratorką jest sama Katarzyna. Jednocześnie wprowadza Pani precyzyjnie czas akcji, który jest zarazem bardzo rozciągliwy. Widzimy całe życie umierającego człowieka. Co daje taka perspektywa narracyjna?

ES: Daje możliwość pokazania historii Katarzyny w kontekście ostatnich dni i godzin jej życia, niespotykanego od wielu lat okresu, w którym absolutna władczyni straciła władzę nad wszystkim, nawet nad własnym ciałem. Nie jest już carycą, jest kobietą u progu śmierci, która wydobywa z zakamarków pamięci obrazy dawnych zdarzeń i obserwuje konsekwencje decyzji podjętych w młodości. Należą do nich np. toksyczne relacje z synem, które wkrótce zaowocują częściowym zniszczeniem jej idei Rosji. Nie może już nikim manipulować. Myśli o swoim życiu, wspomina – dla samej siebie. Wyrywkowo, podobnie jak i my pamiętamy naszą odległą przeszłość, i bardziej szczegółowo, gdy sięgamy pamięcią do wydarzeń ostatnich dni czy tygodni. Tak więc, kiedy Katarzyna wspomina intrygi pałacowe ostatniego w jej życiu lata, mamy okazję towarzyszyć jej w spotkaniach z wnukami, Faworytem, lekarzem, architektem, obserwować życie pałacu jej oczami …

Chciałam dotrzeć do Katarzyny, która przestaje już być carycą Rosji i zrozumieć, co mogło być dla niej wtedy najważniejsze.

BLC: Ukazuje Pani Katarzynę w pozytywnym świetle. Dzięki Pani nie rażą nas jej liczne romanse czy bezwzględna polityka ekspansji, także kosztem Polski. W Pani powieści caryca jest pracowita, inteligentna, otwarta na mądrych doradców. Redaguje nawet zasady moralne, które świadczą o jej humanistycznym zarządzaniu ludźmi. Jednocześnie zaś przedstawia Pani polskiego króla Stanisława Poniatowskiego jako człowieka słabego i bez charakteru, kompletnie od Katarzyny zależnego…

ES: Piszę powieść historyczną, a więc opieram się na źródłach, z których wyłania się taki właśnie obraz moich bohaterów. Katarzyna była najlepszą władczynią w historii Rosji. Była kobietą oświeconą, a przy tym pragmatyczną, świadomą swoich uwarunkowań. Diderotowi powiedziała: „Czego nie jestem w stanie obalić, to osłabiam."

Uważała m.in., że zniesienie pańszczyzny może się udać jedynie po długiej kampanii, której podstawą będzie edukacja. Aby Rosją rządziły w przyszłości nowe elity – trzeba edukować nie tylko mężczyzn, ale też i kobiety, gdyż to one będą wychowywać potem swoje dzieci w duchu Oświecenia, według zasad XVIII-wiecznej wiedzy pedagogicznej. Tak też kształciła swoje wnuki. Od wczesnego dzieciństwa, od pierwszych zabaw. Nie pozwalała krępować ich działań, uczyła przez zabawę, zachęcała do pytań.

Natomiast z królem Stasiem miałam kłopoty. Muszę z góry zastrzec, że darzę go wielką sympatią. W „Katarzynie Wielkiej” miałam pole do popisu, aby dać temu wyraz, ponieważ przedstawiam go w okresie, gdy przybywa do Petersburga, jest młody, wrażliwy, mądry i zakochany. Pod koniec życia natomiast był już mężczyzną przegranym, pełnym goryczy, pozbawionym realnej oceny swojej sytuacji, a co za tym idzie – o wiele mniej pociągający. Z Grodna wysyłał do Katarzyny i jej dworzan setki listów z różnymi prośbami, częstokroć upokarzającymi dla siebie i nierealnymi. Powinien był przecież wiedzieć, że caryca Rosji nie może obalonemu i zdetronizowanemu królowi Polski pozwolić na wyjazd do Rzymu, gdzie jego obecność byłaby – za jego zgodą czy też bez niej – politycznie wykorzystana przeciwko niej. A prosił o to bezustannie. Był też od Katarzyny zależny finansowo, co – w moim odczuciu – pogłębiało tragizm jego sytuacji. Z jednej strony polityczne negocjacje, a z drugiej – finansowe sprawozdania i rachunki: tyle na służących, tyle na świece, tyle na wino i jedzenie.

BLC: Z jakich źródeł korzystała Pani, pisząc powieść?

ES: Zaczęłam od czytania wszystkiego, co wpadło mi w ręce: polskich i zachodnich biografii Katarzyny Wielkiej, podsumowań jej panowania, naukowych i ogólnodostępnych artykułów dotyczących wszelkich aspektów jej życia, a także opisów śmierci, która nastąpiła w jej własnym łożu, po dwudniowej

walce o życie po wylewie krwi do mózgu, który spowodował paraliż.

Opierałam się też na pamiętnikach i listach Katarzyny Wielkiej do Potiomkina, Barona Grimma, Woltera. Przeczytałam bardzo uważnie pamiętniki Poniatowskiego, pamiętniki i memoriały polityczne Adama Czartoryskiego, który przyjechał na carski dwór dwa lata przed śmiercią Katarzyny. Zapoznałam się także z pamiętnikami Niemcewicza, który był w tym czasie więźniem Katarzyny, osadzonym w twierdzy pietropawłowskiej. Korzystałam także z prozy pamiętnikarskiej podróżników i polityków: ambasadorów brytyjskich i francuskich oraz irlandzkich gości księżnej Daszkowej.

Pamiętniki i listy Katarzyny są w tym kontekście szczególnie ciekawe. Była świadoma, że to, o czym pisze, stanie się publiczną własnością, budowała swój wizerunek, sprzedawała swoją interpretację historii. Myślę, że gdyby żyła współcześnie, byłaby doskonałą celebrytką, taką, która się nie odsłania, lecz kreuje.

BLC: Powieść jest tak barwna i pełna szczegółów obyczajowych, że czytając ją, ma się nieodparte wrażenia, że człowiek staje się częścią tego świata.

ES: Bardzo mnie to cieszy! Przygotowując się do pisania, miesiącami gromadzę przeróżne materiały źródłowe. Konkretny,

dobrze dobrany szczegół zawsze przewyższa ogólnikowe określenie. Kiedy zaczynam pisać, mam już sporo historycznych „ściągawek” – gotowych autentycznych spostrzeżeń, faktów, opisów np. wystroju wnętrz, obyczajów, strojów… nie zawsze dotyczących samej Katarzyny Wielkiej, ale możliwych w jej świecie. Kiedy czytam, jak fryzowano włosy w XVIII wieku na dworze francuskim, domyślam się, że tak samo czesano moją bohaterkę, bo francuska moda obowiązywała wówczas wszystkie eleganckie kobiety. Tu muszę też podkreślić, że sama Katarzyna w swoich pamiętnikach barwnie odmalowuje obyczajowość dworu: wizytę dentysty, po której miała na policzku sińce od palców przytrzymujących jej głowę, pożaru pałacu, po którym całą klatkę schodową zajęły ewakuujące się myszy i szczury.

BLC: Nad czym Pani obecnie pracuje? Kim jest Pani kolejna bohaterka?

ES: Zaczęłam już pisać kolejną powieść, tym razem zainspirowaną życiem Bronisławy Niżyńskiej. Była młodszą siostrą słynnego na cały świat tancerza – Wacława, fenomenalną tancerką i uznanym choreografem. Na etacie choreografa pracowała w zespole Baletów Rosyjskich Diagilewa. Niżyńscy byli Polakami, choć urodzili się i wychowali w Rosji, a tworzyli głównie na Zachodzie. Bronisława ponadto spędziła lata 1915-1921 w Kijowie, gdzie jej modernistyczny balet był częścią rewolucyjnej awangardy.

Intryguje mnie w niej jej pasja tworzenia, jej determinacja, by być przede wszystkim artystką. Myślę dużo o jej relacji z Wacławem, o pozycji młodszej siostry utalentowanego brata.

Materiałów mi nie brakuje. Bronisława od 1939 roku do wczesnych lat 70. mieszkała w Kalifornii i całe jej archiwum spoczywa w Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie: 160 pudeł zawierających listy, pamiętniki, zdjęcia, programy teatralne, plakaty, wycinki prasowe itd. Spędziłam w Waszyngtonie sporo czasu, notując jak najwięcej szczegółów. Pozwolą mi one na oddanie jej świata, choć i tym razem nie piszę biografii, lecz powieść.

http://kulturaonline.pl/

Cesarzowa nocy: władczyni i kobieta wielkiego formatu

Barbara Lekarczyk-Cisek

Interesujący epicki portret kobiety o silnej osobowości, inteligentnej i konsekwentnej.

Podobnie jak poprzednia powieść: ”Katarzyna Wielka. Gra o władzę”, książka Ewy Stachniak poświęcona jest carycy Katarzynie II. Inny jest jednak czas fabularny, a także perspektywa narracyjna utworu. Sprawia, że patrzymy na życie władczyni jej oczami. Oczami osoby, która w obliczu śmierci robi swoisty rachunek zysków i strat, niczego już nie udając.

”Cesarzowa nocy” jest interesującym epickim portretem kobiety o silnej osobowości, inteligentnej i konsekwentnej. Pisarka, korzystając z różnych źródeł, m.in. z ” „Pamiętników cesarzowej Katarzyny II przez nią samą spisanych”, podejmuje próbę stworzenia literackiego portretu władczyni, wchodząc niejako w skórę swej bohaterki – oddając jej głos. Toteż caryca Katarzyna Ewy Stachniak nie jest wcale tą stereotypową okrutną władczynią, która odmalowywana była przez wrogów jako *największa ladacznica Europy. Lubieżna. Plugawa. Nienasycona.* (…) *Kiedy inni to robią, to cnota. Kiedy ja to robię, to grzech* – powiada sarkastycznie monarchini. *Oni są ambitni. Ona jest żądna chwały. Oni są zręczni. Ona przebiegła. Oni są walecznymi królami, zdobywcami, bohaterami. Ona to Meduza, wampirzyca, wiedźma.* I konkluduje – *Z oszczerstwem nie da się dyskutować.*

Pisarka w swojej wcześniejszej powieści, w której narratorką jest bliska i zaufana przyjaciółka młodej Zofii von Anhalt-Zerbst, Barbara, ukazuje dwór cesarski jako miejsce intryg, w którym łatwo przepaść, jeśli nie przyjmie się obowiązujących reguł gry.

Zofia nie tylko je przyjmuje, ale staje się wytrawnym graczem i wygrywa najwyższą stawkę, stając się carycą Katarzyną II. W ciągu swego długiego panowania uczyni bardzo wiele, zarówno w dziedzinie stosunków zagranicznych, jak i wewnętrznych, dla wzmocnienia potęgi państwa, władzy centralnej i absolutyzmu panującego. W okresie jej rządów terytorium Rosji znacznie się powiększa. Jest wytrawnym politykiem, a jednocześnie kobietą pełną temperamentu, pragnącą miłości.

Ewa Stachniak ukazuje w swojej najnowszej powieści ostanie chwile bohaterki, która spogląda na swoje życie w perspektywie śmierci. Rozczarowana nieudanym synem Pawłem, lokuje swoje nadzieje we wnukach. Poświęca im zresztą wiele uwagi od początku, starając się zapewnić właściwe wykształcenie, w duchu oświeceniowym. Sama sprowadza i czyta wartościową literaturę: Monteskiusza, Locke`a, Beccaria, Woltera. Otacza się dziełami sztuki, organizuje teatr w Ermitażu, gdzie jej wnuki mogą wystawiać własne sztuki. Próbuje zaprowadzić moralny ład i sprawiedliwość, spisując ”Nakaz”. Kiedy się go czyta, brzmi zdumiewająco współcześnie, humanistycznie:

Lepiej zapobiegać przestępstwom, niż karać. Słowa nie mogą podlegać karze, jeśli nie towarzyszą im czyny. Cenzura nie prowadzi do niczego prócz niewiedzy. Każdy obywatel pragnie dla swojego kraju szczęścia, chwały i bezpieczeństwa. Prawa powinny chronić, nie zaś uciskać. Władca rządzi sam, jest jednak

poddany pewnym fundamentalnym prawom, uświęconym przez tradycje i obyczaje.

Katarzyna Wielka w powieści Ewy Stachniak jest w istocie władczynią i kobietą wielkiego formatu: mądrą, wrażliwą, stanowczą i konsekwentną, wymagającą od siebie i od innych.

Ponieważ mamy do czynienia z powieścią, a nie z dokumentem, pisarka nasyca narrację psychologią, która pozwala lepiej zrozumieć postępowanie bohaterki, poznajemy bowiem jej najgłębsze myśli, których publicznie nie wypowiada, nie ufając do końca nikomu. Istotne i bardzo wartościowe jest także nasycenie powieści kolorytem lokalnym – rosyjskimi obyczajami i realiami historycznymi. Dzięki powieści wiemy, jak wyglądał dzień na cesarskim dworze, jak się ubierano przy różnych okazjach, jakie potrawy podawano szczególnym gościom, jak spędzano czas, a także na co chorowano i jak się leczono.

I jest też obecny wątek refleksji dotyczącej starości i umierania, który – podobnie jak potrzeba kochania i bycia kochanym – odnosi się wszak nie tylko do tytułowej bohaterki, ale do każdego człowieka.

Starość bierze nas z zaskoczenia. Czy to dlatego, że to jedyny okres w życiu, po którym już nic nie ma? Nikomu nigdy nie udało się spojrzeć na własną starość wstecz, z dystansu. Wiek nie

zamienia nas w mędrców, lubi rozważać Katarzyna, tylko w starych mężczyzn i kobiety, niepewnych, dokąd zmierzają. Właśnie dlatego chce się otaczać młodymi. Pełnymi życia, elastycznymi, podatnymi na wpływy. Przyszłością rasy ludzkiej. W ich duszach widać jeszcze kolor.

Powieść ma dobrą, wartką narrację, która przenosi czytelnika w czasy słynnej imperatorowej Rosji, które stają się znajome i zrozumiałe. Jednocześnie zaś następuje proces uwspółcześnienia bohaterów, którzy ze swymi problemami i namiętnościami przypominają nas samych.

Książka Ewy Stachniak "Cesarzowa nocy. Historia Katarzyny Wielkiej" ukazała się w Między Słowami, Społecznym Instytucie Wydawniczym Znak, w 2014 r. w autoryzowanym tłumaczeniu z języka angielskiego Niny Dzierżawskiej.

http://kulturaonline.pl/